Podróż do domu

Powracanie myślami do dni dawnych jest uważane za przywilej, jeżeli nie za charakterystyczny objaw starszego wieku. Bardzo niewiele osób w okresie swego życia poświęconego pracy jest w stanie znaleźć chwilę, by spojrzeć wokoło i zebrać swe przeżycia. Większość z nas tak jest pochłonięta sprawami dnia powszedniego, że nie odczuwa chęci ich przerwania.

Dojrzałość chrześcijańska to jakby młodość w życiu wiecznym. Ze spoglądania w przeszłość można odnieść wiele korzyści. Znaki Bożej wiecznej miłości ustawione tak licznie wzdłuż drogi życia sprawiają, że wspomnienia doznanych łask w jednej sytuacji, otrzymanej pomocy w innej, to znów odczutego wzmocnienia czy pociechy odnawiają energię i pogłębiają zaufanie do Tego, który kocha miłością bez końca.

Podróżnik wyruszający do dalekiego kraju patrzy długo na blednącą linię brzegową swego rodzinnego lądu, patrzy z uczuciem, jakim zwykle obdarza się rzeczy bliskie sobie. Z czasem nowe doświadczenia podróży zaczynają przyciągać oczy. Gdy wreszcie podróż zbliża się ku końcowi, następuje moment wielkiego zainteresowania nowym krajem i życiem tam oczekującym. Wszystko, co stara się przedstawić sobie w wyobraźni, stanie się wkrótce rzeczywistością. Gdy nowy ląd wyłania się na horyzoncie i staje się coraz bliższy, przyjmując konkretne proporcje nowego świata i nowego życia, umysł na mgnienie oka wraca do dnia rozstania ze starym domem, do wszystkiego, co zdarzyło się w drodze i zauważa, że spełnienie daleko przewyższa wszelkie przypuszczenia. Życie chrześcijanina jest najwspanialszą podróżą. Z analogii do wypraw morskich, podróży pełnych przygód, niebezpiecznych wspinaczek górskich chrześcijanin czerpie natchnienie. Nikt nie podróżuje sam. Ci, którzy zostawili świat, aby wspinać się po niebieskich szczeblach, mają zawsze wybornych towarzyszy. Na podstawie swego bogatego doświadczenia jeden z najlepszych pielgrzymów stwierdził, że ten, kto ma upodobanie w drogach Pańskich, trwa w błogosławionej z Nim społeczności. Żyje na wyższej płaszczyźnie, oddycha czystszym powietrzem, doświadcza świętszej i słodszej przyjaźni niż ta, którą może zaproponować świat.

Podczas długiego wieku, przeznaczonego na zgromadzenie rodziny Bożej, wszyscy jej członkowie są w drodze. Różne są okoliczności, czas i odległość, ale w doświadczeniu, w ostatecznym zamiarze, w miłości stanowią oni jeden i ten sam zastęp, maszerujący ku miastu Bożemu. Kiedy nad całym światem zachodzi słońce i gdy do wspięcia się na ostatnie wzniesienie zachęca podróżnika gwiazda wieczorna, być może warto spojrzeć do tyłu na burzliwe doświadczenia doznane w drodze, zyskując na ostatnie metry odwagę, która bezpiecznie nas wprowadzi do domu Ojca. Wszystkie przeszłe wydarzenia przyprowadziły nas do chwili, w której się znajdujemy. Żadnego z nich nie przeżyjemy od nowa. Czas popycha nas do przodu. Musimy iść dalej. Nie będziemy szli opornie ani z niestosownym pośpiechem, ale pewnym i mocnym krokiem, czujni, pokorni i pełni czci, tak jak ktoś, komu kazano stawić się przed królewskim tronem. Zda się, że dawno temu wznieśliśmy swe oczy w stronę domu Ojca, ale wspomnienia są tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj; powracają cierpienia i radości, wzloty i upadki, nadzieje i rozczarowania. Niezwykła jest nasza podróż! W wyobraźni rysuje się niebiańska góra – odległa, tajemnicza, dziwnie pociągająca swym wolnym od światowości zaproszeniem, które z ochotą przyjęliśmy. Dziwna moc pociągnęła nasze serca i zachęciła nogi, by obrały drogę, na której będą mogły spocząć wraz z Chrystusem, który *„Miłością wieczną umiłował nas”.* To nie pręt przemocy ani strach skierowały nas tam, gdzie nie chcielibyśmy iść, ale cudowna miłość tęskniąca, pociągająca, zdobywająca zachęcała nas do stawiania pierwszych kroków. *„Miłuję Go, bo On pierwszy ukochał mnie”.* Zdawszy sobie sprawę z tej mocy miłości, działającej w naszym umyśle i sercu, nie mogliśmy uczynić nic innego, jak tylko iść za Nim, chociaż nie jest to proste.

Świat podnosi głos protestu, więzy ciała wyciągają swe hamujące ręce, sceptyczny język rzuca gorzkie słowa wątpliwości i źle ukrywanej pogardy. Dla mądrych tego świata zdaje się to być przedsięwzięciem głupca. Porzucenie tego, co pewne i widzialne, dla zwiewnej niepewności tego, co niewidzialne – dla Królestwa, do którego ciało i krew wejść nie mogą, gdzie nie można się dostać bez walki umysłu i ofiary z samego siebie, zdaje się dla ziemskiego umysłu bezmyślnym wyrzuceniem wszystkiego, co w życiu najlepsze. Ale podróżnik-chrześcijanin doznaje zachęty z doświadczeń innych, którzy szli przed nim tą drogą.

Abraham, ojciec wszystkich wiernych pielgrzymów, zostawił wszystko to, co było mu znane i bliskie, i rad podróżował do miejsca, którego nie znał, będąc prowadzony, wspierany i błogosławiony przez wieczną miłość, która też pociągnęła go z pogańskiego *„Ur”* do ziemi obiecanej. Rebeka chętnie opuściła dom i rodzinę, pociągnięta będąc przez miłość do nowej ziemi i wspaniałego losu. Rozmyślając nad drogą swej wielkiej poprzedniczki, Psalmista dostrzegł jeszcze wspanialszą Oblubienicę, wyruszającą w bardziej niebezpieczną drogę i przekazał nam swą wizję w słowach stanowią-

cych dla nas natchnienie: *„Słuchajże córko, a obacz, i nakłoń ucha twego, a zapomnij narodu swego, i domu ojca twojego, a zakocha się król w piękności twojej, albowiem on jest Panem twoim; przetoż kłaniaj się przed nim”* (Psalm 45:11-12). Święty Paweł uznał wszystko, co stracił, za niewielką stratę, aby tylko mógł zyskać Chrystusa (Filip. 3:7-8), swój prawdziwy skarb; uważał wszystkie niebezpieczeństwa i cierpienia za nieznaczny ucisk, którego nie można porównać z zakończeniem podróży – koroną żywota. Tak, nasi towarzysze podróży są wyborni. Sam Pan pielgrzymów opuścił niebiańską chwałę, stał się ciałem i dla nas stał się ubogim, zostawiając nam przykład, iż powinniśmy kroczyć Jego śladami.

Tak podróż rozpoczyna się bez żadnych obaw, bez oglądania się za siebie, choć nie bez smutku. Kiedy na drodze miłości staje prawda i gdy musi ona zwyciężyć, serce rozumie, że być może już nigdy więcej nie przejdzie poszerzającej się doliny. Następuje pierwsza próba bohaterstwa, *„gdy miłość opuszcza miłość, serce krwawi”.* Dolina ta została przebyta przy Jordanie, przez wodę zanurzenia, przez oddzielenie się od dawnych dróg. Stopy stanęły pewnie na wąskim gruncie, wiodącym do życia niebieskiego. Ufność dodała zapału do żwawego kroczenia, dodała mocy do pragnienia pracy, do wyruszenia, by wspinać się po ścieżkach łaski i znajomości. Zdziwienie jednak często zatrzymywało podróżnika, który oczekiwał, że za każdym następnym zakrętem znajduje się złota ziemia obietnicy. Z jakimż przerażeniem czytamy na każdym znaku drogowym: „jeszcze trochę dalej” i spoglądamy na następne wzgórze z mniejszą chęcią zdobywania go, zdając sobie sprawę, że za nim jest, leży jeszcze jedno i jeszcze jedno.

Spoglądając wstecz możemy się tylko uśmiechać, myśląc o tych wypieszczonych nadziejach, że Królestwo Niebios znajduje się za następnym zakrętem, że z pewnością po przybyciu kilku wzniesień staniemy u jego bram z podniesioną głową, że zdobędziemy to Królestwo szturmem jako specjalnie uprzywilejowani, pełni wiedzy, wyróżniani, jako ci, na których oczekuje całe niebo, zanim rozpocznie się dzieło błogosławienia wszystkich ludzi na tej małej planecie, ziemi. Dopiero wtedy, gdy droga się przedłużała i gdy czas kazał sobie płacić za pośpieszne wnioski, spoglądaliśmy z bardziej dogodnych punktów i widzieliśmy tak, jak widzi Bóg. Czas nie jest nieistotną rzeczą. Potrzeba było czasu na ukształtowanie świata i potrzeba go, aby ukształtować świętego. Bóg się nie spieszy. Pewnie i cierpliwie Bóg Wieczności uskutecznia swą najwyższą wolę, uzyskując ludzki materiał, kształtując go i formując według upodobania swojego serca. Jest to jedna z trudnych lekcji drogi pielgrzymskiej. Ten, który biegł przed nami, musiał nauczyć się posłuszeństwa i cichości z rzeczy, które wycierpiał. Sługa, niższy od Pana swego, uczy się tego samego w ten sam sposób, uczestniczy w tej samej szkole i w tych samych cierpieniach – *„tak jak baranek na rzeź prowadzony, nie otworzył ust swoich”.* Znaczy to coś więcej, niż tylko pozbawione światowego ducha przyjęcia sprzeciwu, więcej niż ciche oddanie się w ręce Boże. Znaczy to objawiającą się miłość o bezwzględnym zaufaniu. Rozmyślanie o tym ostatnim wzniesieniu przed niebiańskim wejściem pomaga w zrozumieniu, że właśnie ta miłość jest prawdziwym sensem i celem życia. Wszystkie frakcje, strony, przekonania i dogmaty bledną wobec tej pozostającej, wiecznej łaski. Stopnie, po których się wznosiliśmy, droga, po której podróżowaliśmy, książki, z których uczyliśmy się, a nawet i konflikty, w których braliśmy udział, słuszności i omyłki opadają jak jesienne liście przed pewnością, że nic prócz pobożnej, pełnej dobrej woli miłości nie otrzyma wstępu do przedsionków Najwyższego. Pielgrzym musi stanąć sam na końcu drogi, pozbawiony wszelkich ziemskich usidleń, ludzkiego poparcia, uwolniony od wszelkich wrodzonych aspiracji. Jeżeli ziemskie naczynie sta nie się naczyniem ze szpikanardem, oczyszczonym i odważonym, bez zanieczyszczeń, wtedy praca i cała podróż nie pójdą na marne.

Wszystkie niebezpieczeństwa i burze tej drogi się zakończą i pozostaną tylko w pamięci ciche miejsca spoczynku, które pokrzepią nas na ostatni odcinek drogi. Nawet i sama droga, kręta i wspinająca się na Górę Bożą, zatrze się we mgle lat, które przeminęły. Oko musi teraz wpatrywać się w szczyt, a krok ma być pewnie skierowany do przodu. Z laską w ręku i mocno przepasany pielgrzym musi teraz iść tak, jak szedł Mojżesz na spotkanie swego Boga, aby wreszcie na zawsze powierzyć się Jego opiece.

Dawid widział swego Pana, jak ten opuszczał swe pałace, jak w szacie pachnącej uzdrawiającym eliksirem przechadzał się pomiędzy ludźmi. Objawiciel widział Oblubienicę Chrystusową, Jeruzalem Nowe, zstępujące z nieba, ozdobione chwałą i pięknem życiodajnej mocy. Wielki głos oznajmił to wydarzenie, czas, kiedy usunięte będą wszystkie ludzkie nieszczęścia, osuszone łzy i gdy żywa woda będzie darmo płynąć dla każdej pragnącej duszy. To stanowi kulminacyjny punkt pielgrzymskiej drogi, wydarzenie, na które niebo i ziemia długo czekają. Te nieznaczne utrapienia nie mogą być porównane z wielką chwałą przyznaną tym, którzy trwają w wierze (w dobrym czy złym czasie), w bezlitosnej pogodzie, czy też w przeraźliwej samotności, aż do przybycia przed tron Boga. Tu przy akompaniamencie chórów niebieskich nucących swe pieśni Najwyższemu, ciężar, krzyż i zdobycze będą złożone, zamienione na koronę życia i zwycięstwa.

The Bibie Study Monthly;
Lipiec-Sierpień 1988;

przedruk z „The Herald of Chrisfs Kingdom”

R- „Straż”